



DICK PHILIP K.

Wiara naszych ojców

PHILIP K. DICK

(FAITH OF OUR FATHERS)

Przełożyła magdalena gawlik

Philip K. Dick (1928-1982) pisywał powieści i opowiadania badające „rzeczywistość” we wszystkich jej licznych przejawach, pozwalając swoim bohaterom na równi z czytelnikami dochodzić do tego, co jest rzeczywiste, a co nie jest. W roku 1962 zdobył Hugo za „Człowieka z Wysokiego Zaniku”. Na kanwie utworów jego autorstwa powstało wiele filmów – bez wątpienia najslawniejszym jest „Blade Runner” Ridleya Scotta.

Spiesząc ulicami Hanoi, ujrzał przed sobą beznogiego kramarza, który jechał na małym, drewnianym wózku, krzykliwie zaczepiając przechodniów. Chien zwolnił kroku, nadstawił ucha, ale nie przystanął; w myślach uparcie kołatały mu się sprawy Ministerstwa Dóbr Kultury i całkowicie pochłaniały o uwagę. Czuł, jak gdyby był sam, a otaczający go rowerzyści, motocykliści i kierowcy skuterów nie istnieli. To samo dotyczyło beznogiego kramarza.

–Towarzyszu – zawołał kramarz i popędził za nim na swoim wózku. Zwiększył napęd helowego akumulatora i bez trudu dogonił Chiena. – Podam szeroki asortyment sprawdzonych leków ziołowych wraz z rekomendacjami tysięcy lojalnych użytkowników. Powiedz, na czym polega twoje schorzenie, a służę pomocą. Chien przystanął.

–Ależ ja nie jestem chory. – Jeśli nie liczyć chronicznej niedyspozycji trapiącej członków Komitetu Centralnego, dokończył w myślach, która polega na gorliwym testowaniu barier wszystkich wysokich stanowisk. Łącznie z moim własnym.

–Potrafię wyleczyć na przykład chorobę popromienną – zapewnił kramarz, nie dając za wygraną. – Lub też, w razie potrzeby, rozszerzyć zakres seksualnych możliwości. Mogę zatrzymać postępujący nowotwór, nawet raka skóry, zwanego czerniakiem. – Unosząc w górę tacę zastawioną butelkami, małymi puszkami z aluminium oraz plastikowymi słoikami pełnymi rozmaitych proszków, sprzedawca zaśpiewał: – Jeżeli rywal uparcie nastaje na twoją intratną posadkę, proponuję maść, która pod postacią leczniczego balsamu kryje w sobie niezawodną truciznę. Moje ceny, towarzyszu, są ni-

Złota księga fantasy

skie. Poza tym, od takiego szacownego klienta jak ty, przyjmę powojenne dolary inflacyjne o rzekomo międzynarodowej wartości, w istocie zaś nie -warte więcej niż papier toaletowy.

–Idź do diabła – warknął Chien i zamachał na przejeżdżającą taksówkę. Był już o trzy i pół minuty spóźniony na swoje pierwsze spotkanie i jego opaśli przełożeni w ministerstwie nie omieszkają skrzętnie tego odnotować – podobnie zresztą jak jego podwładni.

–Ale, towarzyszu – powiedział ściszym głosem kramarz – przecież musisz coś ode mnie kupić.

–Jak to? – zdziwił się Chien.

–Tak to, towarzyszu, ponieważ jestem weteranem wojennym. Walczyłem w Kolosalnej Ostatecznej Wojnie Wyzwolenia Narodowego przy Ludowym Zjednoczonym Froncie Demokratycznym przeciwko imperialistom i postradałem kulasy w bitwie pod San Francisco. – W jego triumfalnym głosie pojawiły się nuty przebiegłości. – Takie jest prawo. Jeżeli odmawiasz zakupu towaru oferowanego przez weterana, ryzykujesz grzywną oraz możliwą karą więzienia. Nie mówiąc o poniżeniu.

Chien z rezygnacją odprawił taksówkę.

–No tak – przyznał. – Dobrze, muszę coś od ciebie kupić. – Obrzucił przelotnym spojrzeniem skromną zawartość tacy, chcąc wybrać coś na chybił trafił. – To – zdecydował, wskazując na owiniętą w papier paczuszkę w ostatnim rzędzie.

Kramarz wybuchnął śmiechem.

–To środek plemnikobójczy, towarzyszu, kupowany przez kobiety, które z przyczyn politycznych nie mogą stosować pigułki. Z uwagi na twoją płęć, miałyby dla ciebie wątpliwą przydatność.

–Prawo – odparł kąśliwie Chien – nie nakazuje mi kupować od ciebie czegoś użytecznego; ważne, żebym w ogóle coś kupił. Biorę. – Sięgnął do kieszeni płaszcza po pękaty portfel z uzupełnianym cztery razy w tygodniu zasobem gotówki. Bądź co bądź, pracował dla rządu.

–Opowiedz mi o swoich problemach – powiedział sprzedawca. Wstrząśnięty jawnym

naruszeniem prywatności – i to ze strony osobnika spoza rządu – Chien wlepił w niego zdumione spojrzenie.

–W porządkuj towarzyszu – powiedział kramarz, widząc jego minę. – Nie będę drażył; wybacz. Niemniej jako lekarz – zielarz i uzdrowiciel – powinienem wiedzieć jak najwięcej. – Zamilkł z nagłą powagą na wychudłej twarzy. – Czy nie oglądasz za często telewizji? – zapytał zniechęca.

–Co wieczór – odrzekł wzięty z zaskoczenia Chien. – Za wyjątkiem piątków, kiedy idę do klubu poćwiczyć importowaną sztukę ezoteryczną pokonanego Zachodu, polegającą na chwytaniu byka za rogi. – Stanowiło to jego jedyną rozrywkę; poza tym był całkowicie oddany interesom Partii.

Kramarz sięgnął po owiniętą w szary papier paczkę.

–Sześćdziesiąt dolarów – oznajmił. – Pełna gwarancja; jeśli nie pomoże, oddaj pozostałą część, a otrzymasz zwrot kosztów.

Wiara naszych ojców

–A niby na co ma to pomóc? – zapytał cierpko Chien.

–Da wytchnienie oczom znużonym patrzeniem na mówców wygłaszających bezsensowne monologi – oświadczył kramarz. – Zapewni natychmiastową ulgę;

należy zażyć, z chwilą rozpoczęcia nudnego i długiego kazania, które...

Chien zapłacił, odebrał pakunek i odszedł. Guzik prawda, powiedział do siebie. Przepis ustanawiający weteranów klasą uprzywilejowaną to szalbierstwo. Żerują na nas, młodszych, jak sępy.

Wkrótce zapomniał o schowanej w kieszeni paczce i wszedł do przytłaczającej siedziby Powojennego Ministerstwa Dóbr Kultury, gdzie czekały na niego codzienne obowiązki.

W swoim biurze zastał tęgawego mężczyznę rasy kaukaskiej, ubranego w brązowy, dwurzędowy, jedwabny garnitur z kamizelką. Obok nieznanego stał bezpośredni przełożony Chiena, Ssu-Ma Tso-pin. Tso-pin przedstawił obu mężczyzn w dialekcie kantońskim, którego poprawność pozostawiała wiele do życzenia.

–Panie Tung Chien, to pan Darius Pethel. Pan Pethel obejmie funkcję kierownika nowej organizacji ideologiczno-kulturowej o charakterze dydaktycznym, która niebawem powstanie w San Fernando w stanie Kalifornia. – Dodał: – Pan Pethel posiada bogate, wieloletnie doświadczenie w dziedzinie ludowej walki przeciwko państwom bloku imperialistycznego za pomocą mediów pedagogicznych; stąd ten awans.

Uścisnęli sobie dłonie.

–Herbaty? – zaproponował Chien. Wcisnął przycisk podczerwonego *hi-bachi*, w wyniku czego woda w ornamentowanym ceramicznym dzbanku japońskiego pochodzenia natychmiast zbulgotała. Gdy usiadł przy biurku, zobaczył, że nieoceniona panna Hsi dostarczyła mu (tajne) materiały na temat towarzysza Pethela. Przejrzał je mimochodem, nic nie dając po sobie poznać.

–Prawdziwy Dobroczyńca Ludu osobiście spotkał się z panem Pethelem i mu ufa – zakomunikował Tso-pin. – To niezmiernie rzadkie. Uczelnia w San Fernando na pozór ma nauczać najzwyczajszej filozofii taoizmu, w rzeczywistości jednak jej głównym celem będzie utrzymanie sieci komunikacyjnej z liberalnymi, młodymi intelektualistami z zachodnich Stanów Zjednoczonych. Wielu z nich pozostało przy

życiu, od San Diego do Sacramento; szacujemy ich liczbę na przynajmniej dziesięć tysięcy. Szkoła przyjmie dwa tysiące. Dla tych, których wybierzemy, zapisanie się będzie obowiązkowe. Pański związek z projektem pana Pethela jest nieodzowny. Hm, woda się panu zagotowała.

–Dziękuję – odmruknął Chien, wrzucając do dzbanka torebkę herbaty Lipton.

–Mimo faktu, że pan Pethel obejmie nadzór nad ułożeniem kursów dla studentów – podjął Tso-pin – wszystkie papiery egzaminacyjne zostaną przekazane tutaj, do pańskiego gabinetu, w celu dokładnych, fachowych, ideologicznych oględzin. Innymi słowy, panie Chien, stwierdzi pan, kto spo-

Złota księga fantasy

śród dwóch tysięcy studentów jest godny zaufania, kto odbiera przesłanie kursu, a kto nie.

–Należę herbatę – odrzekł Chien i ceremonialnie rozlał napój do filiżanek.

–Musimy uświadomić sobie, co następuje. – Kantoński Pethela był znacznie gorszy niż Tso-pina. – W wyniku porażki w prowadzonej przeciwko nam wojnie globalnej, amerykańska młodzież rozwinęła w sobie talent do symulacji. – Ostatnie słowo wypowiedział po angielsku; Chien nie zrozumiał i spojrział na swego przełożonego.

–On ma na myśli kłamstwo – wyjaśnił Tso-pin.

–Dla niepoznaki wykrzykują slogany, choć w istocie myślą coś zupełnie przeciwnego – ciągnął Pethel. – Testy egzaminacyjne tej grupy będą przypominać prace szczerych...

–Chcecie przez to powiedzieć, że do mojego gabinetu trafią prace dwóch tysięcy studentów? – zapytał Chien. Nie wierzył własnym uszom. – Przecież to zajęcie na cały etat; w żadnym wypadku nie mam na to czasu. – Nie krył przerażenia. – Proponowane przez was wydanie oficjalnego potwierdzenia lub odrzucenie wyłonionych prac... – Machnął ręką. – Psiakrew.

Mrugając oczami na ten dosadny przejaw zachodniej wulgarności, Tso-pin odparł:

–Ma pan ludzi. Poza tym, może pan poprosić o więcej etatów; pozwoli na to zwiększony w tym roku budżet ministerstwa. I proszę pamiętać: Prawdziwy Dobroczyńca Ludu osobiście wybrał pana Pethela. – W jego głosie pojawił się subtelny cień groźby. Na tyle wyraźny, aby stłumić histerię Chiena i nakłonić go do posłuszeństwa. Przynajmniej na razie. By poprzeć swoje słowa, Tso-pin podszedł do wiszącego na ścianie trójwymiarowego portretu Prawdziwego Dobroczyńcy. Jego bliskość uruchomiła po chwili ukryty w ścianie mechanizm;

oblicze Dobroczyńcy drgnęło i dobiegło zeń znajome przesłanie. – Walczcie o pokój, synowie – zaintonował łagodnie acz stanowczo portret.

–Ha – powiedział Chien, skrętnie ukrywając swój niepokój. Być może jeden z ministerialnych komputerów mógłby sortować testy. Wprowadzenie zasady tak-nie-być może wraz ze wstępną analizą wzorca ideologicznej poprawności – i niepoprawności – nadałoby przedsięwzięciu rutynowy charakter. Prawdopodobnie.

–Chciałbym, żeby przejrzał pan przyniesiony przeze mnie materiał -odezwał się Darius Pethel. Otworzył szkaradną, staroświecką teczkę z plastiku. – Dwa eseje egzaminacyjne – dorzucił, podając dokumenty Chienowi. – To pomoże nam ustalić, czy posiada pan odpowiednie kwalifikacje. – Zerknął na Tso-pina; wymienili spojrzenia. – Rozumiem – powiedział Pethel – że jeśli powiedzie się panu w tym przedsięwzięciu, zostanie pan wiceradnym ministerstwa, a Jego Wspaniałość Prawdziwy Dobroczyńca Ludu osobiście udekoruje pana medalem Kisterigiana. – Na wargach obu mężczyzn pojawiły się czujne uśmiechy.

–Medal Kisterigiana – powtórzył jak echo Chien. Wziął testy do ręki i przejrzał je z demonstracyjną obojętnością. Serce jednak waliło mu

Wiara naszych ojców

w piersi jak młotem. – Dlaczego akurat te dwa? Czego tak właściwie mam szukać, sir?

–Jeden z nich – powiedział Pethel – to praca oddanego, lojalnego członka Partii, oparta na sumiennie przestudiowanym zagadnieniu. Drugi został napisany przez młodego *stiiyagi*, którego podejrzewamy o hołdowanie zdegenerowanym ideom imperialistycznym. Od pana zależy decyzja, który jest który.

Wielkie dzięki, odpowiedział w duchu Chien. Niemniej jednak kiwnął głową i przeczytał nagłówek eseju.

DOKTRYNY PRAWDZIWEGO

DOBROCZYŃCY

PRZEWIDZIANE W POEZJI BAHA AD-DIN ZUHAYRA

W TRZYNASTOWIECZNEJ ARABII

Spoglądając na wstęp do pracy, Chien dostrzegł znany mu czterowiersz pod tytułem „Śmierć”. Znał go przez większość swojego dorosłego życia.

Choć raz i drugi przymknęła swe oczy,

Nie jest jej straszna góra ni dolina,

Spośród chwil wielu, w jednej cię zaskoczy,

Gdyż kwiecie życia zawsze równo ścina.

- Mocne – stwierdził Chien. – Co za wiersz.

–Autor wykorzystuje go po to – odparł Pethel, śledząc ruch warg Chiena ponownie odczytującego czterowiersz – aby wskazać na pradawną mądrość Prawdziwego Dobroczyńcy w naszym współczesnym życiu, mądrość głoszącą, że żadna jednostka nie jest bezpieczna; wszyscy są śmiertelni i tylko ponadosobowy, historycznie uzasadniony cel ma szansę na przetrwanie. Czy przyzna mu pan rację? To znaczy, temu studentowi? Czy też... – Pethel spauzował. – Może ośmiesza on tezy Dobroczyńcy?

–Pozwólcie mi obejrzeć drugą pracę – zaproponował ostrożnie Chien.

–Nie potrzebuje pan dalszych wskazówek; proszę podjąć decyzję.

–Ja... nigdy nie postrzegałem tego wiersza w ten sposób – odpowiedział z wahaniem Chien. – Tak czy inaczej, nie wyszedł on spod pióra Baha ad-Din Zuhayra, lecz należy do antologii „Baśnie 1001 Nocy”. Przyznaję, że to również trzynasty wiek. – Pospiesznie przebiegł wzrokiem towarzyszący wierszowi tekst. Wyglądało na to, że ma do czynienia z rutynową powtórką partyjnych sloganów, które wszystkie znał na pamięć od kołyski. Ślepy, imperialistyczny potwór wężący ludzkie aspiracje, knowania wciąż aktywnego ugrupowania antypartyjnego we wschodniej części Stanów Zjednoczonych... Poczul się znudzony i równie wyzuty z polotu jak wypracowanie studenta. Musimy wytrwać, głosił esej. Zetrzeć niedobitki Pentagonu w Catskills, ujarzmić Tennessee, a zwłaszcza ośrodek reakcji w czerwonych wzgórzach Oklahomy. Westchnął.

Złota księga fantasy

–Myślę, że powinniśmy dać panu Chienowi czas do namysłu w chwilach wolnych od pracy – wtrącił Tso-pin. Zwrócił się do Chiena: – Ma pan pozwolenie, by zabrać je do domu i tam ocenić. – Skłonił się, na wpół szyderczo, na wpół uprzejmie. Bez względu na urazę, Chien mógł na jakiś czas spokojnie odetchnąć, i za to był wdzięczny.

–Jest pan bardzo uprzejmy – wymamrotał – pozwalając mi wykonać tę nową i wysoce stymulującą pracę w wolnym czasie. Gdyby Mikoyan żył, radośnie by temu przyklasnął. – Ty draniu, pomyślał w duchu, mając na myśli zarówno przełożonego, jak i Dariusza Pethela. Takie niewygodne zadanie, i to na dodatek w wolnym czasie. Wyglądało na to, że Komunistyczna Partia w USA popadła w tarapaty; w zetknięciu z opieszałymi, ekscentrycznymi jankesami jej akademie indoktrynacji najwyraźniej nie spełniały swojej powinności. Niewdzięczne zadanie sprawdzania ich prac przekazywano z rąk do rąk, aż wreszcie trafiło do mnie.

Wielkie dzięki, pomyślał cierpko.

Tego wieczora, w swoim małym, acz ładnie urządzonym mieszkaniu, przeczytał drugi z esejów, napisany przez Marion Culper. Autorka posłużyła się poezją. Najwyraźniej była to specjalizacja grupy. Zrobiło mu się niedobrze. Zawsze był przeciwny wykorzystywaniu poezji – lub innej formy artystycznej – do celów społecznych. Rozparł się wygodnie na swoim prostującym kręgosłup skórzanym fotelu, zapalił gigantyczne cygaro Cuesta Rey Numer Jeden na Angielskim Rynku i zagłębił się w lekturze.

Autorka wypracowania, panna Culper, wybrała jako tekst źródłowy fragment wiersza siedemnastowiecznego poety angielskiego Johna Drydena pt. „Pieśń na Dzień Świętej Cecylii”.

... I tak w ostatniej, straszliwej godzinie

Gdy wielka trwoga w nasze serca spłynie

Dźwięczne się w niebie rozlegnie śpiewanie

Żywy odda ducha, zmarły z grobu wstanie

I wszyscy posłyszę aniołowe granie.

No proszę, pomyślał kąśliwie Chien. Czyżby Dryden przewidział koniec kapitalizmu? Chryste. Sięgnął po cygaro i stwierdził, że zgasło. Grzebiąc w kieszeni w

poszukiwaniu japońskiej zapalniczki, na wpół uniósł się z miejsca. Z odległego krańca pokoju rozległ się przeraźliwy dźwięk telewizora. Aha, pomyślał Chien. Zaraz przemówi do nas Przywódca. Prawdziwy Dobroczyńca Ludu, z Pekinu, gdzie mieszka od dziewięćdziesięciu lat, a może i stu? Albo, jak niekiedy lubimy go nazywać...

–Niech dziesięć tysięcy kwiatów dobrowolnego ubóstwa zakwitnie w waszych duchowych ogrodach – powiedział spiker. Chien z jękiem powstał z miejsca i wykonał obowiązkowy ukłon. Każdy odbiornik telewizyjny wyposażony był w urządzenie monitorujące EsBe, Służby Bezpieczeń-

Wiara naszych ojców

stwa, która czuwała, by obywatele oglądali i/ lub kłaniali się we właściwym momencie.

Na ekranie pojawiło się szerokie, gładkie, zdrowe oblicze studwudziestoletniego przywódcy wschodniej Partii Komunistycznej, władcy wielu -zbyt wielu, pomyślał Chien – dusz. Wypchaj się, rzucił w duchu i ponownie usiadł na skórzanym fotelu, tym razem twarzą do telewizora.

–Moje myśli – powiedział głębokim, dobitnym tonem Prawdziwy Dobroczyńca – są z wami, dzieci. Zwracam się szczególnie do pana Tung Chiena z Hanoi, który ma przed sobą trudne zadanie, zadanie wzbogacania obywateli Demokratycznego Wschodu oraz amerykańskiego Zachodniego Wybrzeża. Skierujmy nasze myśli ku temu szlachetnemu, oddanemu człowiekowi i jego zadaniu, ja zaś postanowiłem poświęcić parę chwil swego czasu na to, by go uhonorować i zachęcić. Słucha pan, panie Chien?

–Tak, Wasza Wspaniałość – odparł Chien, zastanawiając się, co skłoniło Prawdziwego Dobroczyńcę, żeby tego wieczora zwrócić się właśnie do niego. Stwierdził cynicznie, iż rzecz była mało przekonująca. Być może przemówienie transmitowano jedynie do tego budynku – w najlepszym razie do miasta. Mógł to też być zgrabny fotomontaż, dzieło Hanoi TV, sp. z o.o. Tak czy owak, jego obowiązkiem było zamienić się w słuch – i chłonać. Tak też uczynił, przyzwyczajony wieloletnią rutyną. Na zewnątrz sprawiał wrażenie głęboko zasłuchanego w słowa Mistrza. W rzeczywistości jednak wciąż zastanawiał się nad dwiema pracami egzaminacyjnymi, zachodząc w głowę, która jest która; kiedy partyjny entuzjazm przechodził w sardoniczny paszkwil? Trudno powiedzieć... co oczywiście tłumaczyło, dlaczego zadanie wylądowało na jego barkach.

Ponownie sięgnął do kieszeni po zapalniczkę – i jego palce natrafiły na małą, szarą kopertę kupioną od weterana. Psiakość, pomyślał, przypominając sobie jej cenę. Pieniądze wyrzucone w błoto, i to w zamian za co? Za nic. Obrócił w rękach paczuszkę i jego uwagę przykuły wydrukowane drobną czcionką słowa. Hm, stwierdził, przystępując do ostrożnego otwierania zawiniątka. Tekst – zgodnie z zamierzeniem jego autora – wzbudził jego ciekawość.

Zawodisz jako członek Partii i istota ludzka?

Boisz się zapomnienia

Na spopielałym stosie historii...

Pospiesznie przebiegł wzrokiem tekst w poszukiwaniu właściwości zakupionego specyfiku.

Tymczasem Prawdziwy Dobroczyńca mówił dalej.

Tabaka. Koperta zawierała tabakę. Niezliczone ziarenka przypominające proch, których aromat przyjemnie polechtał go w nozdrza. Odkrył, że mieszanka nosiła nazwę Princes Special. Ładnie, uznał. Kiedyś zażył tabaki – palenie tytoniu było z przyczyn zdrowotnych zabronione – jeszcze

Złota księga fantasy

w czasach akademickich, na uniwersytecie pekińskim. Cieszyła się krótką, choć intensywną popularnością, zwłaszcza amatorskie mieszanki wytwarzane w Chungking z Bóg wie czego. Do tabaki można było dodać praktycznie każdy aromat, od esencji organicznej do sproszkowanych małych krabów... takie przynajmniej odnosiło się wrażenie, zwłaszcza w wypadku angielskiej mieszanki High Dry Toast, która skutecznie zniechęciła go do wdychanych używek.

Na ekranie telewizora Prawdziwy Dobroczyńca ciągnął swoją monotonną wypowiedź, podczas gdy Chien ostrożnie wciągnął proszek nosem i przeczytał wskazania – specyfik leczył wszystko, począwszy od spóźnień do pracy, aż do zakochania w kobiecie o politycznie dwuznacznym pochodzeniu. Ciekawe. Aczkolwiek typowe...

Zadzwoił dzwonek.

Wstał i podszedł do drzwi ze świadomością człowieka, który wie, kto za nimi stoi. Zgodnie z jego przewidywaniami, na korytarzu stał Mou Kuei, strażnik budynku, niski, ostrooki i czujny. Na ramieniu miał opaskę służbową, a na głowie metalowy hełm, co wskazywało na to, że nie żartował.

–Panie Chien, towarzyszu partyjny. Otrzymałem telefon ze stacji telewizyjnej. Zamiast oglądać program, zabawiacie się paczką o podejrzanym zawartości. – W jego rękach pojawił się notes i długopis. – Otrzymujecie dwa czerwone znaki i od tej pory macie usiąść w wygodnej, zrelaksowanej pozycji przed waszym odbiornikiem i ofiarować Przywódcy swą niepodzielną uwagę. Jego słowa dziś wieczorem adresowane są właśnie do was; podkreślam, do was.

–Wątpię – odparł Chien. Kuei zamrugął.

–Co proszę?

–Przywódca rządzi ośmioma miliardami towarzyszy. Przecież nie będzie mnie wyróżniał. – Poczuł przyływ złości; punktualność reprimendy strażnika wyprowadziła go z równowagi.

–Przecież sam słyszałem – odrzekł Kuei. – Wyraźnie o was wspomniał. Chien podszedł do telewizora i podkręcił głośność.

–Teraz mówi o porażkach w Indiach Ludowych; to nie ma nic wspólnego ze mną.

–Wszystkie poruszane przez Przywódcę sprawy są istotne. – Mou Kuei nabazgrał coś w notesie, skłonił się oficjalnie i odwrócił na pięcie. – Polecenie, abym się u was stawił, nadeszło z Centralnego. Wynika stąd, że wasze skupienie jest dla nich istotne. Nakazuję wam uruchomienie automatycznego obwodu rejestrującego transmisję i obejrzenie wcześniejszych fragmentów przemówienia.

Chien pierdnął. I zatrzaskał drzwi.

No to z powrotem do telewizora, zakomenderował w duchu. Tam, gdzie ma spędzać wolny czas. I gdzie czekają na niego dwa wypracowania, leżące mu kamieniem na sercu. I to w moim własnym czasie, pomyślał ze złością.

Wiara naszych ojców

Do diabła z nimi. Mam to gdzieś. Wielkimi krokami podszedł do odbiornika i przystąpił do jego wyłączania; natychmiast zapaliło się czerwone światełko ostrzegawcze, informując go, że nie ma prawa wyłączyć telewizora -w gruncie rzeczy nie zdołałby przerwać tyrady, nawet gdyby odłączył go od sieci. Obowiązkowe wysłuchiwanie przemówień, pomyślał, wykończy nas wszystkich. Gdybym tylko mógł się od nich uwolnić, od zgiełku Partii, jej ujadania podczas nagonki na ludzkość...

O ile wiedział, nie istniał żaden przepis, zabraniający mu zażywania tabaki w trakcie oglądania Przywódcy. Otworzywszy więc paczuszkę, wysypał część czarnych granulek na lewą dłoń. Następnie wprawnie podniósł rękę do twarzy i głęboko wciągnął substancję w zatoki nosowe. Przypomniawszy sobie dawne przekonanie, że nozdrza prowadziły prosto do mózgu, czyli wdychany proszek bezpośrednio wpływał na korę mózgową. Uśmiechnął się, usiadł i skierował spojrzenie na telewizor oraz dobrze znanego wszystkim gestykułującego osobnika.

Oblicze mówiącego zafalowało i znikło. Dźwięk urwał się. Miał przed sobą próżnię. Spoglądał w biały i pusty ekran, słysząc sącący się z głośnika cichy pomruk.

Cholerna tabaka, pomyślał. I zachłannie wciągnął w nozdrza pozostałość proszku, czując, jak wędruje zatokami i, jak mu się zdawało, dochodzi do mózgu. Z rosnącym zapamiętaniem chłonał substancję, pozwalając, by docierała coraz głębiej.

Ekran był w dalszym ciągu pusty. Naraz stopniowo zaczął formować się na nim jakiś kształt. Nie był to jednak Przywódca. Postać nie przypominała Prawdziwego Dobroczyńcy Ludu ani nawet człowieka.

Miał przed sobą mechaniczną konstrukcję, złożoną z szeregu obwodów i rozkołysanych pseudoodnóży, soczewek oraz skrzeczącej skrzynki, która jazgotliwie podjęła swoją przemowę.

Co to jest, pomyślał, z osłupieniem wpatrując się w ekran. Rzeczywistość? Halucynacje, stwierdził. Kramarz znalazł się w posiadaniu psychodelicznych środków używanych podczas Wojny Wyzwolenia. Sprzedaje to świństwo, a ja je zażyłem, i to ile!

Chwiejnie doszedł do wideofonu i wykręcił numer najbliższej stacji EsBe.

–Chcę zgłosić dystrybutora środków halucynogennych – powiedział do słuchawki.

–Pańskie nazwisko i adres? – zabrzmiał bezosobowy głos gorliwego policyjnego biurokraty.

Udzielił potrzebnych informacji, po czym niepewnie wrócił na swój fotel, by znów utkwić wzrok w osoblności na ekranie. To zabójstwo, pomyślał. Środek wynaleziono najpewniej w Waszyngtonie albo w Londynie; jest silniejszy i dziwniejszy niż LSD-25, którym skutecznie zanieczyścili nasze zbiorniki. A ja myślałem, że uwolni mnie od ciężaru przemówień Przywódcy... to jest znacznie gorsze, ta gdacząca, bełkocząca, trzęsąca się, elektroniczna potworność z metalu i plastiku – istny koszmar.

Złota księga fantasy

Musieć patrzeć na to do końca życia...

Upłynęło dziesięć minut i dwuosobowa ekipa EsBe załomotała do drzwi. Do tego czasu straszliwa wizja elektronicznego potwora zdążyła stopniowo zaniknąć, ustępując miejsca znajomej postaci Przywódcy. Roztrzęsiony wpuścił policjantów do mieszkania i zaprowadził do stołu, na którym spoczywały resztki tajemniczej substancji.

–Psychodeliczna substancja toksyczna – rzucił ochryłym głosem. – O krótkotrwałym działaniu. Bezpośrednio dostaje się do krwiobiegu przez naczynia nosowe. Podam wam szczegóły, gdzie ją kupiłem i od kogo. – Spazmatycznie odetchnął; obecność policji przyniosła mu pewną ulgę.

Dwaj oficerowie czekali z uniesionymi piórami. W tle płynęło niekończące się przemówienie Przywódcy. Podobnie jak podczas tysiąca innych wieczorów w życiu Tunga Chiena. Ale to już nigdy nie będzie to samo, pomyślał, przynajmniej nie dla mnie. Nie po zażyciu tego toksycznego świństwa.

Ciekawe, czy o to im chodziło, przyszło mu do głowy.

Myślenie o nich wydało mu się dziwne. Dziwne, lecz na swój sposób trafne. Zawahał się na ułamek sekundy, czy ma podać szczegóły, czy powiedzieć policji wystarczająco dużo, aby złapała tamtego człowieka. Kramarz, miał na końcu języka. Nie wiem, gdzie; nie pamiętam. Ale pamiętał dokładnie; skrzyżowanie na trwałe wryło mu się w pamięć. Toteż, z niewytłumaczalnym ociąganiem, powiedział prawdę.

–Dziękujemy, towarzyszu Chien. – Szef ekipy skrupulatnie zebrał pozostałość substancji – Chien zużył zaledwie znikomą część – i włożył ją do kieszeni eleganckiego munduru. – Przeanalizujemy ją przy najbliższej sposobności – obiecał. – W razie konieczności zaaplikowania antidotum, natychmiast damy panu znać. Niektóre z dawnych, wojennych środków psychodelicznych powodują śmierć, jak pan zapewne czytał.

–Czytałem – potwierdził. Myślał dokładnie o tym samym.

–Powodzenia i dziękujemy za informacje – powiedzieli policjanci i wyszli. Sytuacja nie zdawała się robić na nich żadnego wrażenia; pomimo okazanej skuteczności, widocznie potraktowali skargę jak chleb powszedni.

Biorąc pod uwagę wszechobecną biurokrację, wynik testu laboratoryjnego nadszedł

zadziwiająco szybko. Nim przemowa Dobroczyńcy dobiegła końca, w mieszkaniu Chiena rozległ się sygnał wideofonu.

–To nie jest środek halucynogeny – zakomunikował pracownik laboratoryjny EsBe.

–Nie? – odrzekł, ku swemu zdumieniu nie odczuwając najmniejszej ulgi.

–Wręcz przeciwnie. To fenotiazyna, która, jak pan zapewne wie, jest antyhalucynogenna. Jeden gram to silna dawka, ale nieszkodliwa. Może obniżyć ciśnienie krwi albo spowodować senność. Pewnie ukradziono ją w czasie wojny z apteczki pozostawionej przez uciekających barbarzyńców. Nie ma co się martwić.

Chien w zamyśleniu powoli odłożył słuchawkę. Następnie podszedł do okna z widokiem na inne wysokie budynki mieszkalne. I pogrążył się w myślach.

Wiara naszych ojców

Zadzwonił dzwonek u drzwi. Jak w transie przeciął wyłożony dywanem salon i poszedł otworzyć.

Ujrzał dziewczynę w brązowym płaszczu przeciwdeszczowym, z chustką przykrywającą jej ciemne, lśniące, bardzo długie włosy. Powiedziała nieśmiało:

–Hm, towarzysz Chien? Tung Chien? Z ministerstwa... Wpuścił dziewczynę do środka i zamknął za nią drzwi.

–Monitorowała pani mój wideofon – oznajmił; to stwierdzenie opierało się na czystych domysłach, coś jednak podpowiadało mu, że ma rację.

–Czy... czy oni zabrali resztę tabaki? – Rozejrzała się. – Ach, mam nadzieję, że nie, tak trudno ją teraz dostać.

–O tabakę nietrudno – odparł. – O fenotiazynę owszem. Czy to ją miała pani na myśli?

Dziewczyna podniosła głowę i zmierzyła go uważnym spojrzeniem podkrążonych oczu.

–Tak, panie Chien... – Zawahała się. Najwyraźniej była równie niepewna swoich racji, jak EsBecy pewni siebie. – Proszę powiedzieć, co pan zobaczył. To dla nas niezmiernie istotne.

–Czy miałem wybór? – zapytał ostro.

–T-tak, jak najbardziej. Właśnie to zbija nas z tropu i kłóci się z naszymi teoriami. Trudno to pojąć. – Jej oczy jeszcze bardziej pociemniały. – Czy istota miała przerażający, płynny kształt? Była śluzowata i uzębiona, niczym kosmita? Niech pan mi powie; musimy to wiedzieć. – Z trudem chwytała oddech. Chien złapał się na obserwacji nierównomiernego falowania jej prochowca.

–Maszyna – powiedział.

–Ach! – Przekrzywiła głowę, energicznie nią kiwając. – Tak, rozumiem, urządzenie w niczym nie przypominające człowieka. Nie atrapa stworzona na jego kształt i podobieństwo.

–To nie wyglądało jak człowiek – potwierdził. I nie mówiło jak on, dorzucił w myślach.

–Rozumie pan, że to nie była halucynacja.

**–Zostałem oficjalnie poinformowany, że zażyłem fenotiazynę. Tyle wiem. –
Posługiwał się ogólnikami; nie chciał mówić, lecz słuchać. Słuchać tego, co
dziewczyna miała do powiedzenia.**

**–Cóż, panie Chien... – zaczerpnęła tchu. – Skoro to nie była halucynacja, więc co?
Cóż nam pozostaje? Zjawisko o nazwie „ponadświadomość”, prawda?**

**Nie odpowiedział, odwróciwszy się do niej plecami od niechcienia sięgnął po prace
egzaminacyjne i przejrzał je. Czekał, aż ponowi próbę.**

**Stanęła obok niego, rozsiewając wokół siebie słodki zapach wiosennego deszczu i,
jak pomyślał, piękna w tym, jak pachniała, wyglądała i mówiła. Zwłaszcza to ostatnie
odróżniało ją od znanego z telewizji schematu przemówień, do którego przywykł od
dziecka.**

Złota księga fantasy

–Niektórzy spośród zażywających stelazynę – powiedziała zachrypniętym głosem – a właśnie stelazynę pan wziął, panie Chien, widzą jedną postać, a inni drugą. Zdołaliśmy jednak wyodrębnić wyraźne kategorie; różnorodność nie jest nieskończona. Część osób widzi to, co pan, czyli Klankera. Inni płynną zjawę; nazwaliśmy ją Połykaczem. Jest jeszcze Ptak, Wirująca Serpentyna i... – Urwała. – Lecz pozostałe reakcje mówią niewiele. Mówią nam bardzo niewiele. – Zawahała się, po czym podjęła: – Skoro wspomniane przeżycie stało się i pańskim udziałem, panie Chien, chcielibyśmy, aby dołączył pan do naszego zgromadzenia. Proszę przystać do swojej grupy, do tych, którzy widzą to, co pan. Grupy Czerwonej. Chcemy wiedzieć, czym to jest naprawdę... – Rozłożyła smukłe, woskowe dłonie. Wydawało mu się, że jej czujność odrobinę zelżała.

–A pani co widzi? – zapytał.

–Należę do Grupy Żółtej. Widzę... burzę. Zawodzącą, nikczemną trąbę powietrzną, która wrywa wszystko z korzeniami i niszczy osiedla mieszkalne, mające z założenia przetrwać stulecie. – Uśmiechnęła się blado. – Niszczyciel. W sumie istnieje dwanaście grup, panie Chien. Dwanaście całkowicie odmiennych eksperymentów i wszystkie pochodzą z tej samej fenotiazyny, a przedstawiają przemawiającego Wodza. – Uśmiechnęła się do niego. Miała długie, pewnie sztucznie przedłużone, rzęsy i przejęte, ba, nawet ufne, spojrzenie. Tak jak gdyby czuła, że on coś wie, albo może coś zrobić.

–Powinienem złożyć na panią donos – odrzekł po chwili.

–Nie ma na ten temat żadnej ustawy. Studiowaliśmy sowieckie pisma prawne zanim... znaleźliśmy dystrybutorów stelazyny. Mamy jej niewiele;

musimy bardzo uważać, komu ją dajemy. Wydawało się nam, że pan jest właściwą osobą... dobrze znany młody karierowicz w drodze na szczyt. – Wyjęła mu z ręki eseje egzaminacyjne. – Zaprzęgli pana do poli-czytania?

–„Poli-czytania”? – Nie zrozumiał.

–Studiowania pism lub przemówień pod kątem partyjnej poprawności światopoglądowej. W pańskiej hierarchii mówi się po prostu „czytanie”, prawda? – Uśmiechnęła się ponownie. – Kiedy osiągnie pan kolejny szczebel i dołączy do pana Tso-pina, pozna pan to sformułowanie. – Dodała poważnie: – I do pana Pethela. On zaszedł już bardzo wysoko. Panie Chien, w San Fernando nie ma żadnej szkoły ideologicznej. Otrzymał pan fałszywe eseje, mające na celu stwierdzenie pańskiej

ideologii politycznej. I co, która praca pańskim zdaniem jest przejawem ortodoksji, a która herezji? – Jej głos nabrał piskliwej barwy, brzmiało w nim złośliwe rozbawienie. – Niech pan wybierze niewłaściwą, a wymarzona kariera utknie w martwym punkcie. Niech pan wybierze właściwą...

–Czy pani wie, która jest która? – zapytał.

–Owszem – kiwnęła głową. – Założyliśmy podsłuch w gabinecie pana Tso-pina. Zarejestrowaliśmy jego rozmowę z panem Pethelem... który tak naprawdę nosi nazwisko Judd Craine i jest wyższym inspektorem EsBe. Pewnie pan o nim słyszał; pełnił funkcję głównego asystenta sędziego Vor-

Wiara naszych ojców

lawskiego podczas procesu zbrodniarzy wojennych w Zurychu w dziewięćdziesiątym ósmym.

–Rozumiem – odparł nie bez pewnych trudności. Cóż, to wyjaśniało sprawę.

–Nazywam się Tania Lee – powiedziała dziewczyna.

W milczeniu skinął głową; oszołomienie odebrało mu jasność myślenia.

–Jestem właściwie tylko drobną urzędniczką – dodała panna Lee -w pańskim ministerstwie. Jednak nigdy się nie spotkaliśmy, przynajmniej sobie nie przypominam. W miarę możliwości staramy się utrzymać na swoich stanowiskach. Im wyżej, tym lepiej. Mój szef...

–Czy pani powinna mówić mi to wszystko? – zapytał, wskazując na włączony telewizor. – Czy oni tego nie rejestrują? Tania Lee powiedziała:

–Wprowadziliśmy zakłócenia w audiowizualnym odbiorze materiału z tego budynku. Nim odkryją przyczynę usterki, minie co najmniej godzina. Dlatego mamy... – Popatrzyła na zegarek na drobnym nadgarstku. – ... jeszcze kwadrans. Nic nam nie grozi.

–Proszę mi powiedzieć, która praca jest ortodoksyjna – poprosił.

–Tak panu na tym zależy? Naprawdę?

–A na czym ma mi zależeć?

–Nie rozumie pan, panie Chien? Dowiedział się pan czegoś. Wódz nie jest Wodzem; jest czymś innym, ale nie wiemy, czym. Jeszcze nie. Panie Chien, z całym szacunkiem, czy kiedykolwiek dał pan do zbadania wodę, którą pan pije? Wiem, że to brzmi śmiesznie, ale czy zrobił pan to?

–Nie – odparł. – Oczywiście, że nie. – Dobrze wiedział, jakie dalej padną słowa.

–Nasze badania wykazały w niej obecność środków halucynogennych -powiedziała panna Lee. – Była skażona, jest i będzie. Nie są to środki używane w czasie wojny, nie powodują dezorientacji, lecz stanowią syntetyczną pochodną alkaloidu o nazwie Datrox-3. Od rana pije to pan w domu, w restauracjach i domach, które pan odwiedza. Również w ministerstwie;

jest pompowana z centralnego źródła. – Mówiła beznamiętnym głosem. – Rozwiązaliśmy ten problem, wiedzieliśmy, że dobra fenotiazyna to właściwe antidotum. Rzecz jasna, nie mieliśmy pojęcia o różnorodności autentycznych doznań; z logicznego punktu widzenia to nie mieściło się w głowie. Halucynacje powinny przybierać różną formę w wypadku różnych osób, natomiast rzeczywistość powinna być dla wszystkich jednakowa -sam pan widzi, że wszystko stoi do góry nogami. Nie ma co nawet próbować pokusić się o teorię *ad hoc*, a Bóg nam świadkiem, że próbowaliśmy. Dwanaście wzajemnie wykluczających się halucynacji – nietrudno byłoby to zrozumieć. Ale nie jedną halucynację i dwanaście rzeczywistości. – Umilkła i ze zmarszczonymi brwiami przyjrzała się testom. – Praca na temat arabskiego wiersza to dzieło ortodoksa – zawyrokowała. – Jeśli pan im to powie, zaufają panu i dadzą wyższe stanowisko. Podskoczy pan o jeden szczebel

Złota księga fantasy

wyżej w partyjnej hierarchii. – Ukazując w uśmiechu równe zęby, uzupełniła: – Widzi pan, jak opłaciła się poranna inwestycja. Wystawiliśmy pańskiej karierze polisę ubezpieczeniową.

–Nie wierzę – odparł. Słowa dziewczyny uruchomiły w nim instynktowny mechanizm obronny, wykształcony przez przebywanie latami wśród członków wschodniej PK w Hanoi. Znali oni tysiące sposobów wyeliminowania rywala – niektóre sam stosował, niektórych doświadczył na własnej skórze. To mógł być jeden ze sposobów, dotąd mu nieznany. Wszystko się mogło zdarzyć.

–Dziś wieczorem – odezwała się panna Lee – Przywódca wspomniał w swoim przemówieniu właśnie pana. Czy to nie dziwne? Pana, spośród wszystkich ludzi? Drobnego urzędnika w podrzędnym ministerstwie...

–Przyznaję – powiedział. – Odebrałem to dokładnie w ten sposób.

–Było to uzasadnione działanie. Jego Wspaniałość ma zamiar zwerbować elitarną kadrę młodzieży, chcąc w ten sposób tchnąć nowe życie w niemrawą zgraję starych wyżeraczy i partyjnych ważniaków. Jego Wspaniałość wybrał pana na tej samej zasadzie, co my: przy odpowiednich staraniach pańska kariera może zaprowadzić pana prosto na szczyt. Przynajmniej na pewien czas... jak dobrze wiemy. Taka jest kolej rzeczy.

Prawie wszyscy we mnie wierzą, skonstatował w duchu. Oprócz mnie samego, zwłaszcza po doświadczeniu z antyhalucynogennym towarem. Podważyło ono, i pewnie nie bez racji, lata niezmałowanej pewności. Niemniej jednak odzyskiwał przytomność umysłu; najpierw czuł, jak wraca ona stopniowo, potem w pośpiechu.

Podszedł do wideofonu i po raz drugi tego wieczoru przystąpił do wykręcania numeru EsBe w Hanoi.

–Wydanie mnie – zauważyła panna Lee – byłoby drugą co do znaczenia podjętą przez pana chybioną decyzją. Powiem im, że chciał pan mnie przekupić. I myślał pan, że z uwagi na pracę w ministerstwie wiem, który esej wybrać.

–A co było pierwszą chybioną decyzją? – zapytał.

–Niezażycie większej dawki fenotiazyny – odparła gładko panna Lee. Tung Chien odłożył słuchawkę. Co się ze mną dzieje? Dwie siły, Partia i Jego Wspaniałość z jednej strony, dziewczyna z jej domniemanym stowarzyszeniem z drugiej. Jedna

strona chce wynieść mnie jak najwyżej w partyjnej hierarchii, druga... – Czego właściwie chce Tania Lee? Co kryje się pod jej słowami, pod jawną pogardą wobec Partii, Przywódcy, etycznych standardów Ludowego Zjednoczonego Frontu Demokratycznego – jakie ma plany względem niego?

–Czy tworzycie anty-Partię? – zapytał ciekawie.

–Nie.

–Ale... – Machnął ręką. – Nic innego nie ma: jest tylko Partia i anty-Partia. Wobec tego należycie do Partii. – Oszołomiony nie spuszczał z niej wzroku; odwzajemniła mu spokojne spojrzenie. – Macie swoją organizację –

Wiara naszych ojców

podjął – i spotykacie się. Co chcecie zniszczyć? Regularne funkcjonowanie zadu? Czyżbyście przypominali zdradzieckich amerykańskich studentów, którzy podczas wojny w Wietnamie zatrzymywali pociągi z wojskiem, organizowali demonstracje...

–To nie tak – zaproponowała ze znużeniem panna Lee. – Szkoda słów, nie i to chodzi. Oto, co chcemy wiedzieć: kto, lub co, nami rządzi? Musimy pozyskać kogoś, jakiegoś obiecującego, młodego teoretyka partyjnego, który prędzej czy później zostanie zaproszony, by stanąć oko w oko z Przywódcą – rozumie pan? – Podniosła głos, spoglądając na zegarek; najwyraźniej spieszyło się jej do wyjścia. Kwadrans prawie dobiegł końca. – Jak panu wiadomo, zaledwie garstka osób dostępuje tego zaszczytu. To znaczy, naprawdę go widzi.

–Odosobnienie – powiedział. – Z uwagi na jego podeszły wiek.

–Mamy nadzieję – odrzekła panna Lee – że jeśli zaliczy pan test, który dla pana przygotowali, a z moją pomocą na pewno to się uda, zaproszą pana na jedno z organizowanych od czasu do czasu przez Wodza spotkań, oczywiście dyskretnie przemilczanych na łamach prasy. Rozumie pan? – W bliskim hysterii głosie pojawiły się piskliwe nuty. – Wtedy dowiemy się, jeśli pójdzie pan tam pod wpływem środków antyhalucynogennych, zobaczy pan, jak on rzeczywiście wygląda...

Myśląc głośno, powiedział:

–I zakończę karierę. O ile nie życie.

- Jest pan nam coś winien – warknęła z pobladłą twarzą Tania Lee. – Gdybym nie powiedziała panu, który test wybrać, wybrałby pan ten niewłaściwy i pańską wymarzoną karierę i tak szlag by trafił. Oblałby pan test, o którego istnieniu nie miałby pan zielonego pojęcia!

–Miałem szansę pół na pół – odparł bez przekonania.

–Nie. – Ze złością potrząsnęła głową. – Falszywy test upstrzono partyjnym żargonem. Celowo tak ułożono eseje, by wpadł pan w pułapkę. Chcieli, żeby pan oblał!

Ponownie przeniósł wzrok na prace. Miał zamęt w głowie. A jeśli racja leży po jej stronie? Możliwe. To bardzo prawdopodobne, zwłaszcza jeśli się zna-to funkcjonariuszy partyjnych – i pana Tso-pina – tak dobrze jak on. Ogarnę-to go znużenie. I poczucie klęski. Po chwili zwrócił się do dziewczyny:

–To, co usiłuje pani na mnie wymóc, to *quid pro quo*. Wyświadczyła mi pani przysługę, zdobyła – czy też raczej twierdzi, że zdobyła – odpowiedź na pytanie Partii. Lecz na tym pani rola się kończy. Dlaczego nie miałbym wyrzucić teraz pani za drzwi? Nie muszę dać w zamian złamanego szeląga. – Słyszał, jak jego beznamiętny głos pobrzmiwa brakiem empatycznej emocjonalności, tak charakterystycznym dla kręgów partyjnych.

–W drodze na szczyt otrzyma pan kolejne sprawdziany – odrzekła panna Lee. – I te pomożemy panu rozwiązać. – Była opanowana i swobodna;

musiała przewidzieć jego reakcję.

–Ile mam czasu do namysłu? – zapytał.

Złota księga fantasy

–Teraz wychodzę. Nie ma pośpiechu; nie otrzyma pan zaproszenia do willi nad Jangcy w przyszłym tygodniu, ani nawet miesiącu. – Podchodząc do drzwi, powiedziała: – Dostarczymy panu odpowiedzi do kolejnych testów, wówczas będzie pan miał okazję zobaczyć kogoś z nas. Być może to nie będę ja, lecz kaleki weteran, który sprzeda panu tabele z rozwiązaniami przy wejściu do ministerstwa. – Uśmiechnęła się przelotnie. – Któregoś dnia niespodziewanie otrzyma pan ozdobne, oficjalne zaproszenie do willi, do której pójdzie pan, będąc pod wpływem dużej dawki stelazyny... kto wie, może ostatniej z naszych kurczących się zapasów. Dobranoc. – Drzwi zamknęły się i dziewczyna znikła.

Boże, pomyślał. Mogą mnie szantażować za to, co zrobiłem. Ona nawet nie raczyła o tym wspomnieć; na tle tego, w co był zamieszany, podobna wzmianka nie była warta zachodu.

Niby czym mogliby mnie szantażować? Przecież poinformowałem EsBe, że otrzymałem środek o nazwie fenotiazyna. Oni już wiedzą, pomyślał. Będą mnie obserwować; już są czujni. Teoretycznie nie naruszyłem prawa, ale... będą mieć na mnie oko, bez dwóch zdań.

Zresztą, zawsze to robili. Owa myśl przyniosła mu pewną ulgę. W ciągu wielu lat przyzwyczał się do tego stanu rzeczy, podobnie jak inni.

Zobaczę Prawdziwego Dobroczyńcę Ludu w rzeczywistej postaci, stwierdził w duchu. Może nikt przede mną tego nie dokonał. Ciekawe, jak to będzie. Która z kategorii niehalucynacji? Kategorii, o których nic mi nie wiadomo... może ten widok wytrąci mnie z równowagi. Jeśli to ma przypominać stwora z telewizji, to jak dotrwać do końca wieczoru, nie dając nic po sobie poznać? Niszczyciel, Klanker, Ptak, Wirująca Serpentina, Połykacz... albo coś jeszcze gorszego.

Zastanawiał się, jak wyglądają pozostałe obrazy... po czym zrezygnował. To do niczego nie prowadziło. I wzmagало jego niepokój.

Następnego ranka pan Tso-pin i pan Darius Pethel spotkali go w biurze, obaj spokojni, choć pełni oczekiwaniami. Bez słowa wręczył im jeden z dwóch „testów”. Ortodoksyjny, z krótkim i chwytającym za serce poematem arabskim.

–Oto – powiedział dobitnie Chien – dzieło oddanego członka Partii bądź też kandydata do członkostwa. Ten drugi... – Tracił pozostałe kartki. – Reakcyjny śmieć. – Ogarnęła go złość. – Pomimo pozornej...

–W porządku, panie Chien – przerwał mu Pethel, kiwając głową. – Nie ma potrzeby wdawania się w szczegóły; pańska analiza jest poprawna. Słyszał pan wczorajszą wzmiankę na swój temat w przemówieniu Przywódcy?

–Naturalnie – odparł Chien.

–Jak pan zapewne odgadł – ciągnął Pethel – w nasze przedsięwzięcie zaangażowanych jest wiele środków. Przywódca ma na pana oko; to nie ulega wątpliwości. Co więcej, skontaktował się ze mną w pańskiej sprawie. – Otworzył wypchaną teczkę i przetrząsnął ją. – Zgubiłem. Tak czy owak... -Spojrzał na Tsopina, który lekko skinął głową. – Jego Wspaniałość chciał-

Wiara naszych ojców

by wiedzieć pana na kolacji na swoim ranczu nad rzeką Jangcy w następny czwartek. Pani Fletcher zaś...

–Pani Fletcher? Kim jest Pani Fletcher? – zapytał Chien.

–Żoną Prawdziwego Dobroczyńcy – odparł po chwili oschle Tso-pin. – On nazywa się, jak pan zapewne nie miał okazji usłyszeć, Thomas Fletcher.

–Jest kaukaskiego pochodzenia – wyjaśnił Pethel. – Wywodzi się z Nowozelandzkiej Partii Komunistycznej; uczestniczył w tamtejszym przewrocie. Ta informacja nie jest wprawdzie tajna, niemniej jednak unikano w tej kwestii rozgłosu. – Umilkł z wahaniem, bawiąc się łańcuszkiem od zegarka. – Może będzie lepiej, jeśli pan o tym zapomni. Oczywiście, z chwilą gdy pan go zobaczy, stanie z nim twarzą w twarz, stwierdzi pan, że kaukaskie pochodzenie jest niewątpliwe. Podobnie jak w moim wypadku. I w wypadku wielu innych.

–Rasa – zaznaczył Tso-pin – nie ma nic wspólnego z lojalnością wobec lidera i Partii. O czym świadczy obecny tu pan Pethel.

Ale Jego Wspaniałość, pomyślał Chien. W telewizji nic nie wskazywało na to, że pochodzi z Zachodu.

–W telewizji... – zaczął.

–W telewizji – wpadł mu w słowo Tso-pin – wygląd poddawany jest zręcznej obróbce. Dla celów ideologicznych. Większość obywateli na wyższych stanowiskach jest tego świadoma. – Zmierzył Chiena krytycznym spojrzeniem.

Zatem nikt nie ma co do tego wątpliwości, pomyślał Chien. To, co oglądamy co wieczór, nie jest prawdziwe. Pytanie więc, do jakiego stopnia jest nierealne? Częściowo? Czy też – całkowicie?

–Będę na to przygotowany – odparł. Nastąpił pewien poślizg, pomyślał. Nie spodziewali się, ludzie reprezentowani przez Tanie Lee, że tak szybko uzyskam dostęp. Gdzie jest ten antyhalucynogen? Dostarczą mi go czy nie? Pewnie nie tak od razu.

Ku swojemu zdziwieniu poczuł ulgę. Pojawi się w obecności Jego Wspaniałości, mogąc widzieć go w ludzkiej postaci, tak jak widział go – podobnie jak inni – w telewizji. Będzie to bardzo przyjemna kolacja, spędzona w towarzystwie najbardziej

wpływowych azjatyckich członków Partii. Chyba obęde się bez fenotiazyny, pomyślał. I jeszcze raz odetchnął z ulgą.

–Jest – powiedział nagle Pethel, wyciągając z teczki białą kopertę. – Pańska karta wstępu. W czwartek rano zostanie pan przetransportowany do willi Przywódcy. Tam oficer protokolarny zapozna pana z zasadami zachowania. Obowiązuje strój wieczorowy, biały krawat i frak, atmosfera jednak będzie jak najbardziej przyjazna. Nieodmiennie wznosi się dużą liczbę toastów. Ja sam uczestniczyłem w dwóch tego typu spotkaniach – dodał. – Pan Tso-pin – powiedział z krzywym uśmiechem – nie został jeszcze w ten sposób uhonorowany. Ale, jak to mówią, każdy otrzyma to, na co czeka. To słowa Bena Franklina.

–Uważam, że ten zaszczyt spotkał pana Chiena nieco zbyt szybko – powiedział Tso-pin. Wzruszył ramionami. – Nikt jednak nie pytał mnie o zdanie.

Złota księga fantasy

–Jeszcze jedno – zwrócił się do Chiena Pethel. – Możliwe, że kiedy ujrzy pan Jego Wspaniałość we własnej osobie, będzie pan nieco rozczarowany. Proszę uważać, aby nie dać nic po sobie poznać. Zawsze skłanialiśmy się do tego – i byliśmy szkoleni w tym kierunku – aby traktować go jak więcej niż człowieka. Jednak przy stole zachowuje się... – machnął ręką -...dziwnie. Pod pewnymi względami tak jak my. Może na przykład wykazać tendencje w kierunku agresji słownej, opowiedzieć niestosowną anegdotę lub wypić za dużo... Szczerze mówiąc, nikt nie jest w stanie z góry przewidzieć, jak sprawy się potoczą, na ogół jednak przyjęcie trwa aż do białego rana. Dlatego roztropnie byłoby zażyć oferowaną przez oficera protokolarnego dawkę amfetaminy.

–Ach tak – powiedział Chien. Była to dla niego interesująca nowość.

–Dla kurażu. I neutralizacji trunku. Jego Wspaniałość ma zdumiewającą kondycję; twardo trzyma się na nogach nawet wtedy, gdy inni dali już za wygraną.

–Niesamowity człowiek – wtrącił Tso-pin. – Według mnie jego słabości... świadczą jedynie o tym, że to niezrównana osobowość. Istny człowiek Renesansu, jak na przykład Lorenzo il Magnifico z Medyceuszów.

–Rzeczywiście – przytaknął Pethel. Spoglądał na Chiena z taką uwagą, że ten ostatni poczuł znajome ukłucie niepokoju. Czyżbym dawał wpędzić się w kolejną pułapkę? Może dziewczyna była w rzeczywistości agentką SB, próbującą złapać mnie na nielojalności wobec Partii?

Dopilnuję, stwierdził w duchu, aby beznogi sprzedawca ziołowych specyfików nie zaczepił mnie po pracy. Pójdę do domu inną drogą.

Dopiął swego. Tego dnia uniknął kontaktu z kramarzem, podobnie następnego, aż do czwartku.

W czwartek rano sprzedawca wychynął spod zaparkowanej ciężarówki i zastąpił mu drogę.

–Mój lek? – zagaił. – Zadziałał? Wiem, że tak; formuła pochodzi z czasów dynastii Sung – widzę, że ci pomogła. Nie mam racji?

–Z drogi – powiedział Chien.

–Czy wykażesz na tyle uprzejmości, by odpowiedzieć? – Jego ton w niczym nie

przypominał znajomego zawodzenia ulicznego kramarza i donośnie zadzwieczał w uszach Chiena...

–Wiem, co mi dałeś – odparł Chien. – Nie chcę więcej. Jeśli zmienię zdanie, kupię to w aptece. Dzięki. – Poszedł przed siebie, lecz wózek, wraz z beznogim pasażerem, nieustępliwie ruszył w jego ślady.

–Rozmawiałem z panną Lee – powiedział głośno kramarz.

–Hm – odparł Chien, machinalnie przyspieszając kroku; na widok taksówki wykonał gwałtowny ruch ręką.

–Jedziesz dziś na przyjęcie do willi nad rzeką Jangcy – ciągnął zdyszany kramarz, usiłując za nim nadążyć. – Weź swoje lekarstwo... natychmiast! – Błagalnie wyciągnął ku niemu płaskie zawiniątko. – Proszę, Chien, dla twojego dobra, dla dobra nas wszystkich, żebyśmy wreszcie dowiedzieli się,

Wiaro naszych ojców

przeciwko czemu walczymy. Chryste, to może być istota pozaziemska; to nasza największa obawa. Nie rozumiesz, Chien? Czym w porównaniu z tym jest twoja cholerna kariera? Jeśli się nie dowiemy...

Taksówka dobiła do krawężnika; drzwi się otworzyły, Chien wsiadł do środka.

Zawiniątko przeleciało ponad jego ramieniem, wylądowało na framudze drzwi, po czym wilgotne od deszczu ześlizgnęło się na podłogę pojazdu.

–Proszę – powtórzył kramarz. – Nic cię to nie kosztuje; dzisiaj jest za darmo. Tylko nie zapomnij zażyć go przed kolacją. I nie bierz amfetaminy. To stymulator wewnętrzny, przeciwwskazany w wypadku zażycia środka hamującego, takiego jak fenotiazyna...

Drzwi taksówki zamknęły się. Chien usiadł.

–Dokąd, towarzyszu? – padło pytanie mechanicznego urządzenia sterującego.

Podał identyfikacyjny numer swojego mieszkania.

–Ten durny kramarz zanieczyścił moje wnętrze swoimi brudami -oznajmiła taksówka. – Proszę zwrócić uwagę, coś leży przy waszej nodze.

Chien zauważył torebkę – wyglądała jak najzwyczajniejsza koperta. Chyba właśnie w ten sposób wchodzi się w posiadanie narkotyków, pomyślał. Ni stąd, ni zowąd znajdują się w zasięgu ręki. Przez chwilę siedział bez ruchu, po czym podniósł zawiniątko.

Przesyłka jak zwykle zawierała pisemną informację, tym razem jednak napisano ją ręcznie. Był to kobiecy charakter pisma, należał do panny Lee:

Byliśmy zdziwieni tym pośpiechem. Chwała Bogu, zdążyliśmy na czas. Gdzie pan się podziewał we wtorek i środę? Tak czy inaczej, oto ona, i powodzenia. Znajdę pana później; proszę mnie nie szukać.

Spalił wiadomość w popielniczce.

I zachował czarne granulki.

Cały czas, myślał. Halucynogeny w naszych zbiornikach wodnych. Rok w rok. Całe dziesięciolecie. I to nie w czasach wojny, ale pokoju. Nie do obozu wroga, lecz

sprzymierzeńca. Dranie, pomyślał. Może powinienem to zażyć; może powinienem przekonać się, czym on naprawdę jest i podzielić się tą wiedzą z organizacją Tani.

Tak zrobię, postanowił. Poza tym... ciekawość nie dawała mu spokoju.

Wiedział, że to źle. Ciekawość, zwłaszcza w kręgach Partii, na ogół nie prowadziła do niczego dobrego.

Ogarnęła go bez reszty. Zastanawiał się, czy jeśli zażyje specyfik, jego działanie utrzyma się przez resztę wieczoru.

Czas pokaże. Jesteśmy porastającymi równinę kwiatami, które ścina, pomyślał, przypominając sobie arabski wiersz. Bezskutecznie próbował przypomnieć sobie dalszą część.

Wszystko jedno.

Złota księga fantasy

Oficer protokolarny willi, Japończyk Kimo Okubara, wysoki i krzepki, o wyglądzie zapaśnika, nawet mimo okazanego zaproszenia spoglądał na niego z jawną wrogością.

–Dziwne, że zadał pan sobie tyle trudu, by się zjawić – wymamrotał. – Nie lepiej zostać w domu i pooglądać telewizję? Nikt za panem nie tęsknił. Świetnie sobie bez niego radziliśmy.

–Już oglądałem telewizję – odrzekł twardo Chien. Poza tym przyjęcia rzadko były transmitowane, były zbyt sprosne.

Ludzie Okubary sprawdzili, czy nie ma przy sobie broni. Zajrzeli nawet w odbyt, po czym oddali mu ubranie. Nie znaleźli stelazyny. Dawno ją zażył. Działanie narkotyku trwało około czterech godzin; dłużej niż potrzebował. I, jak powiedziała Tania, była to końska dawka; czuł się ospały i niezdarny, a język drgał mu w ustach w mimowolnych konwulsjach – nieprzyjemny efekt uboczny, którego nie wziął pod uwagę.

Nieopodal przeszła dziewczyna, naga od pasa w górę, z miedzianą strzechą włosów opadającą na ramiona i plecy. Interesujące.

Po przeciwnej stronie pojawiła się inna, naga od stóp do głów. Widok był nie mniej intrygujący. Obie sprawiały wrażenie śmiertelnie znudzonych i całkowicie pochłoniętych sobą.

–Pan też musi się rozebrać – poinformował Chiena Okubara. Chien zdumiał się.

–Wydawało mi się, że obowiązuje strój wieczorowy.

–To był żart – odparł Okubara. – Pańskim kosztem. Tylko dziewczęta spacerują na golasa. Proszę do woli cieszyć oczy, chyba że jest pan homoseksualistą.

Cóż, chyba musi mi się to spodobać, pomyślał Chien. Dołączył do pozostałych gości, podobnie jak on ubranych we fraki lub, w wypadku kobiet, długie, powłóczyste suknie. Pomimo usypiającego działania stelazyny, poczuł się nieswojo. Co ja tu robię, pomyślał. Dwuznaczność sytuacji nie uszła jego uwagi. Przyszedł, bo chciał wdrapać się na wyższy szczebel partyjnej kariery i wyżebrać pełne aprobaty spojrzenie Jego Wspaniałości... przyszedł tu również po to, by zdemaskować Jego Wspaniałość jako oszusta. Nie był pewien, na jakich zasadach opierało się to oszustwo, lecz wiedział jedno: było to oszustwo wymierzone w Partię, we wszystkie

wielbiące pokój demokratyczne ludy Terry. Co za ironia, stwierdził w duchu. I wmieszał się w tłum ludzi.

Dziewczyna o drobnych, rozjarzonych piersiach poprosiła go o ogień. Z roztargnieniem wyjął zapalniczkę.

–Jak to się dzieje, że twoje piersi świecą? – zapytał. – Wstrzykujesz sobie substancję radioaktywną?

Dziewczyna wzruszyła ramionami i wyminęła go bez słowa. Najwidoczniej jego reakcja była nieprawidłowa.

Chyba jakaś powojenna mutacja, pomyślał.

–Może drinka, sir. – Służący uprzejmie wyciągnął do niego tacę. Wziął martini, obecnie bardzo modne w wyższych kręgach partyjnych w Chiń-

Wiara naszych ojców

skiej Republice Ludowej. Skosztował lodowato zimnego, cierpkiego napoju. Dobry angielski gin, pomyślał. Albo holenderska mieszanka, jałowiec albo Bóg wie, co oni tam dodawali. Niezły. Nieco podbudowany ruszył przed siebie. W gruncie rzeczy na atmosferę nie można było narzekać. Obecni wydawali się pewni siebie, odnieśli sukces i przyszedł czas na zasłużony odpoczynek. Pogłoska, że bliskość Jego Wspaniałości budzi neurotyczny lęk, musiała być wyssana z palca; ani wokół siebie, ani w sobie nie znajdował na nią żadnego potwierdzenia.

Przysadzisty, starszy mężczyzna z łysiną zastąpił Chienowi drogę, przystawiając mu do piersi swoją szklankę.

–To małe, które poprosiło pana o ogień – zagaił chichocząc – dziwadło z biustem jak choinka... to tak naprawdę chłopak w przebraniu. – Prychnął śmiechem. – Tu trzeba uważać.

–Gdzie wobec tego, o ile w ogóle – odrzekł Chien – można znaleźć prawdziwe kobiety? Pod krawatem?

–Blisko – odparował mężczyzna i dołączył do grupy przejętych gości, pozostawiając Chiena sam na sam ze swoim martini.

Ładna, stojąca nieopodal wysoka kobieta, zniecka ujęła go pod ramię. Poczuł uścisk jej palców. – Idzie. Jego Wspaniałość. To mój pierwszy raz, trochę się boję. Jak mam włosy?

–Dobrze – odparł odruchowo Chien i podążył za jej spojrzeniem, chcąc – po raz pierwszy – ujrzeć Prawdziwego Dobroczyńcę.

To, co podchodziło do stołu, w niczym nie przypominało człowieka.

Nie była to również, jak uświadomił sobie Chien, maszyna, którą zobaczył na ekranie telewizora. Tamto musiało być kukielką na użytek publiczny, podobnie jak Mussolini podczas długich, żmudnych parad salutował sztucznym ramieniem.

Boże, pomyślał, czując mdłości. Czy to właśnie miała na myśli Tania Lee, mówiąc o „płynnym kształcie”? Istota, którą widział, była bezkształtna. Nie miała też odnóży, ani z krwi i kości, ani z metalu. W pewnym sensie wcale nie istniała. Kiedy zmuszał się, by patrzeć bezpośrednio na nią, kształt zniknął, ukazując stojących za nim ludzi. Kiedy jednak odwracał lekko głowę, zerkając kątem oka, dokładnie widział jego zarysy.

Potworność istoty ugodziła w jego świadomość. Idąc, wysysała życie z każdego z osobna; pożerała zgromadzonych, szła dalej, po czym znów łykała ich z niesłabnącą łapczywością. Epatowała nienawiścią; czuł jej nienawiść. Nienawidziła; czuł, jak to uczucie ogarnia wszystkich obecnych -w gruncie rzeczy podzielał je. W jednej chwili on i pozostali goście zamienili się w poskręcane cielska. Istota przystawała nad truchłami, po czym szła dalej, cały czas zmierzając w jego kierunku. A może było to jedynie złudzenie? Jeśli to halucynacja, pomyślał Chien, jest najgorsza, jakiej do tej pory doświadczyłem; jeśli nie, widzę przed sobą realną postać zła, zła, które niszczy i okalecza. Widział szlak zdeptanych mężczyzn i kobiet, widział, jak próbują złączyć w całość zmasakrowane ciała, słyszał ich bełkot.

Złota księga fantasy

Wiem, kim jesteś, pomyślał Tung Chien. Ty, głowa światowego aparatu partyjnego. Ty, który niszczysz wszystko, czego się dotkniesz. Mam przed oczami arabski wiersz, zrywanie kwiecia życia i pożeranie go – widzę, jak kroczysz równiną Ziemi, równiną pozbawioną dolin i gór. Brniesz przed siebie, pojawiaasz się znienacka; tworzysz życie, by zaraz je zniszczyć, czerpiąc z tego okrutną radość.

Pomyślał, jesteś Bogiem.

–Panie Chien – głos dobiegał z wnętrza jego głowy, nie od strony bezustej istoty, która zmaterializowała się na wprost niego. – Miło znów pana spotkać. Nic nie wiesz. Odejdź. Nie interesujesz mnie. Dlaczego miałbym zajmować się śluzem? Śluz; grzęznę w nim, muszę go wydalic i tak zrobię. Mógłbym cie złamać; mogę złamać nawet siebie. Mam pod sobą ostre kamienie, rozkładam je na grzęzawisku. Kryjówki, ustronia bulgoczą jak garnki, dla mnie morze to balsam. Skrawki mego ciała przywierają do wszystkiego. Jesteś mną. Jestem tobą. To bez różnicy, podobnie jak kreatura o rozjarzonych piersiach jest chłopcem albo dziewczyną; możesz nauczyć się doceniać obie formy. – Wybuchła śmiechem.

Chien nie wierzył, że przemawiała do niego, nie mógł sobie wyobrazić, że wybór padł na jego osobę.

–Wybór padł na wszystkich – oznajmiła. – Nikt nie jest zbyt niepozorny, każdy pada i ginie, a ja jestem tu, by patrzeć. Nie muszę robić nic innego, taki jest porządek rzeczy. – Przeszła mówić; rozczłonkowała się. Lecz nadal ją widział; czuł jej wielokrotną obecność. Była wiszącą u sufitu kulą z pięćdziesięcioma tysiącami oczu, z milionem oczu – miliardami: na każdego człowieka przypadało jedno, podczas gdy istota czekała na jego upadek, by móc ostatecznie wdeptać go w ziemię. Po to stworzyła świat, wiedział o tym, rozumiał. To, co w arabskim poemacie uznał za śmierć, w rzeczywistości było Bogiem, albo raczej to Bóg był śmiercią. Jedyna siła, jeden łowca i kanibal, raz i drugi puścił nam płazem, ale przecież ma całą wieczność, może sobie na to pozwolić. Oba wiersze, pomyślał, Dryden też. Upadek; oto nasz świat, twoje dzieło. Zmieniasz je zgodnie ze swoją wolą, naszym kosztem.

Przynajmniej, pomyślał, zachowałem swoją godność. Z godnością odstawił szklankę, odwrócił się i podszedł do drzwi. Opuścił salę. Ruszył długim korytarzem. Odziany w purpurę służący otworzył przed nim drzwi. Znalazł się na opustoszałej, pogrążonej w ciemnościach werandzie.

Nie był sam.

Poszedł za nim. Albo raczej uprzedził go; tak, czekał na niego. Jeszcze z nim nie skończył.

–Idę – powiedział Chien i skoczył w stronę barierki. Od dołu dzieliła go wysokość sześciu pięter. Ujrzał pod sobą połyskującą taflę wody i śmierć, nie to, o czym była mowa w arabskim wierszu.

Gdy leciał w dół, poczuł na ramieniu mackę tamtego.

–Dlaczego? – zapytał, nieruchomiejąc. Nie wiedział. Nie rozumiał. Wcale.

–Nie rzucaj się w dół z mojego powodu – powiedział tamten zza pleców

Wiaro naszych ojców

Chiena. Coś, co spoczywało na ramieniu mężczyzny, przybrało wygląd ludzkiej ręki.

Stwór wybuchnął śmiechem.

–Co w tym śmiesznego? – zapytał Chien, włączając na barierkę, podtrzymywany dłonią tamtego.

–Wyręczasz mnie – odpowiedział stwór. – Nie czekasz, czyżbyś nie miał na to czasu? Wybiorę cię spośród innych, nie musisz tego przyspieszać.

–A jeśli to zrobię? – powiedział. – Z obrzydzenia, które do ciebie czuję? Tamten znów się zaśmiał, unikając odpowiedzi.

–Nawet nic mi na to nie odpowiesz – skwitował Chien. Znowu milczenie. Ześlizgnął się na werandę. Uścisk ręki zelżał.

–Założyłeś Partię? – zapytał Chien.

–Założyłem wszystko. Partię i anti-Partię, która nie jest partią, tych, którzy są za, i tych, którzy są przeciw, tych, których nazywacie jankeskimi imperialistami, i tych, którzy tworzą obóz reakcji. Mógłbym wymieniać w nieskończoność. Wszyscy są moim dziełem. Niczym żdźbła trawy.

–Jesteś tu dla rozrywki?

–Chcę – odparł tamten – abys mnie widział takim, jakim jestem naprawdę, a potem mi zaufał.

–Co takiego? – zająknął się Chien. – Zaufać ci?

–Wierzysz we mnie?

–Tak – odparł. – Widzę cię.

–No to wracaj do swych zajęć w ministerstwie. Powiedz Tani Lee, że zobaczyłeś przepracowanego, otyłego starucha, który lubi zajrzeć do kieliszka i uszczyplnąć dziewczynę w tyłek.

–Chryste – powiedział Chien.

–Kiedy będziesz żył dalej, nie mogąc przestać, zadręczę cię – podjął tamten. –

Stopniowo pozbawię cię wszystkiego, co posiadasz lub pragniesz. Potem, gdy stłamszę cię na śmierć, odsłonię tajemnicę.

–Jaką tajemnicę?

–Żywy odda ducha, zmarły z grobu wstanie. Zabijam to, co żyje; ocalam to, co umarło. Powiem ci coś: są rzeczy gorsze niż ja. Nie zobaczysz ich jednak, gdyż do tego czasu odbiorę ci życie. A teraz idź do jadalni i usiądź do kolacji. Nie zadawaj mi żadnych pytań. Robiłem to przedtem, nim narodził się Tung Chien i będę robił jeszcze po tym, jak umrze.

Zamachnął się z całej siły.

I poczuł dotkliwy ból w głowie.

Ogarnęła go ciemność, wydawało mu się, że spada.

Potem znów nastąpiła ciemność. Dopadnę cię, pomyślał. Dopilnuję, żebyś i ty skonał. I żebyś cierpiał; będziesz cierpiał, tak jak my, dokładnie tak samo jak my. Znajdę na ciebie sposób, Bóg mi świadkiem. Zaboli cię. Tak jak mnie teraz.

Zamknął oczy.

Ktoś potrząsnął nim gwałtownie. Usłyszał głos pana Kimo Okubary.

Złota księga fantasy

–Wstawaj, pijaczyno. Jazda! Nie otwierając oczu, odparł:

–Wezwijcie dla mnie taksówkę.

–Już czeka. Jazda do domu. Co za wstyd. Zrobić takie widowisko. Chwiejnie stanął na nogi i otworzył oczy. Przywódca, za którym podążamy, pomyślał, to Jedyne Prawdziwy Bóg. Wróg, którego musimy zwalczać, również jest Bogiem. Mają rację; on jest wszędzie. Nie rozumiałem, co to miało znaczyć. Patrząc na oficera protokolarnego, pomyślał: Ty też jesteś Bogiem. Dlatego nie ma ucieczki, nawet przez balkon, co instynktownie próbowałem uczynić. Zadrżał.

–Mieszać prochy z wódką – rzucił z dezaprobatą Okubara. – Tak sobie zrujnować karierę. Nieraz to widziałem. Spadaj.

Podszedł na miękkich nogach w kierunku głównego wyjścia z willi nad rzeką Jangcy. Dwaj służący w strojach średniowiecznych rycerzy skwapliwie otworzyli przed nim drzwi.

–Dobrej nocy, sir – powiedział jeden.

–Chrzęć się – odparł Chien, znikając w ciemnościach.

Za piętnaście trzecia nad ranem, kiedy siedział w swoim salonie, paląc cygara Cuesta Rey Astoria jedno po drugim, rozległo się pukanie do drzwi.

Otworzywszy je, ujrzał Tanie Lee w płaszczu przeciwdeszczowym, z posiniałą z zimna twarzą. Oczy załśniły jej pytająco.

–Nie patrz tak na mnie – rzucił szorstko. Cygaro zgasło, zapalił je ponownie. – Dość się dzisiaj na mnie napatrzyli.

–Widziałeś – powiedziała.

Kiwnął głową.

Usiadła na poręczy sofy.

–Chcesz mi o tym opowiedzieć? – zapytała po chwili.

–Odejdź stąd jak najdalej – odparł. – Odejdź daleko. – Przypomniał sobie: żadna odległość nie była wystarczająca. Pamiętał, że gdzieś o tym czytał. – Szkoda gadać –

dodał i powlókł się do kuchni zrobić kawę.

–Było... aż tak źle? – zapytała Tania, idąc za nim.

–Nie możemy wygrać – odparł. – Wy nie możecie wygrać; nie mam na myśli siebie. To nie moja sprawa, chciałem tylko wypełnić swoje obowiązki w ministerstwie i zapomnieć. Zapomnieć o tej całej cholernej sprawie.

–Czy to istota pozaziemska?

–Tak – skinął głową.

–Czy jest wobec nas wrogo usposobiona?

–Tak – potwierdził. – Nie. I tak, i nie. Raczej tak.

–Wobec tego musimy...

–Idź do domu – przerwał jej. – Połóż się spać. – Przyjrzał się jej uważnie; długo siedział i zastanawiał się. Nad wieloma sprawami. – Jesteś mężatką? – zapytał.

–Nie. Już nie. Kiedyś byłam.

Wiaro naszych ojców

–Zostań dziś ze mną – powiedział. – Chociaż do rana. Dopóki nie wstanie słońce. Noc jest najgorsza – dodał.

–Zostanę – odrzekła Tania, rozpinając pasek płaszcza. – Muszę jednak uzyskać kilka odpowiedzi.

–Co miał na myśli Dryden, mówiąc o podniebnym śpiewaniu? Nie rozumiem. Co ma muzyka do nieba?

–Skończy się cały niebieski porządek wszechświata – odparła, wieszając płaszcz w szafie sypialni. Miała na sobie sweter w pomarańczowe pasy i obciste spodnie.

–Czy to źle? – zapytał. Zamyśliła się.

–Nie wiem. Chyba tak.

–Czyli muzyce przypisuje się ogromną moc działania – stwierdził.

–Cóż, znasz to stare pitagorejskie pojęcie „muzyki sfer”. – Usiadła na łóżku i zsunęła pantofle.

–Wierzysz w to? – zapytał. – Wierzysz w Boga?

–W Boga! – Zaśmiała się. – To odeszło bezpowrotnie razem z silnikiem parowym. O czym ty mówisz? W Boga, czy w boga? – Podeszła bliżej i zajrzała mu w twarz.

–Przestań mi się tak przyglądać – rzucił ostro, odsuwając się. – Nie chcę, żeby ktokolwiek na mnie patrzył. – Odwrócił się ze złością.

–Myślę – powiedziała Tania – że jeśli jakiś Bóg istnieje, ludzkie sprawy nie mają dlań większego znaczenia. To przynajmniej moja teoria. Niespecjalnie troszczy się o triumf zła, albo o to, że cierpią i umierają ludzie i zwierzęta. Ja tam nie odczuwam jego obecności. Poza tym. Partia zawsze wykluczała jakąkolwiek formę...

–Czy widziałaś Go? – zapytał. – Kiedy byłaś dzieckiem?

–Ach, jasne, wtedy tak. Wierzyłam też w...

–Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy – zapytał Chien – że zło i dobro tak naprawdę określają to samo? Że Bóg może być jednocześnie dobrem i złem?

–Zrobię ci drinka – stwierdziła Tania i pobiegła bosą do kuchni.

–Niszczyciel – powiedział Chien. – Klanker, Połykacz, Ptak, Wirująca Serpentyna... plus inne nazwy i formy, sam nie wiem. Miałem halucynacje. Na przyjęciu. Straszne halucynacje.

–Ale stelazyna...

–Spowodowała jeszcze gorsze.

–Czy istnieje sposób – spytała poważnie Tania – by zwalczyć to, co widziałeś? Postać, którą nazywasz złudzeniem, mimo że nim wcale nie była?

–Trzeba w to uwierzyć.

–I co dalej?

–Nic – odparł ze zmęczeniem. – Zupełnie nic. Jestem wykończony; nie chcę drinka. Chodźmy do łóżka.

–Dobrze. – Wróciwszy do sypialni, ściągnęła przez głowę pasiasty sweter. – Omówimy to później.

Złota księga fantasy

–Halucynacja – powiedział Chien – to dobrodziejstwo. Szkoda, że ją straciłem, chciałbym ją odzyskać. Chciałbym cofnąć się do chwili, kiedy twój kramarz wmusił mi fenotiazynę.

–Chodź do łóżka. Rozgrzejesz się.

Zdjął krawat, koszulę – na prawym ramieniu widniał znak, stygmat pozostawiony dotykem dłoni tamtego, kiedy powstrzymał go przed upadkiem. Żywe znamię, które wyglądało tak, jak gdyby miało pozostać na zawsze. Założył górę od piżamy, zakrywając je.

–Zresztą – dodała Tania, kiedy położył się obok niej – twoja kariera i tak posunęła się naprzód. Nie cieszysz się?

–Jasne – odparł, mimo ciemności kiwając głową. – Pewnie, że się cieszę.

–Przysuń się bliżej – powiedziała Tania, otaczając go ramionami. – Zapomnij o wszystkim. Przynajmniej w tej chwili.

Przycisnął ją do siebie, robiąc to, o co go poprosiła, i to, na co sam miał ochotę. Była zwinna, uległa i aktywna. Oboje nie odzywali się, aż wreszcie dziewczyna wydała z siebie głębokie westchnienie i opadła na poduszkę.

–Szkoda – powiedział – że to nie może trwać wiecznie.

–Ależ tak – odparła Tania. – Wyszliśmy poza granice czasu; to nieograniczone, jak ocean. Tak było w czasach Kambru, zanim przenieśliśmy się na ląd; kołyszą nas prastare wody. To jedyna chwila, kiedy cofamy się, dlatego to takie istotne. Wtedy nie byliśmy rozdzieleni; tworzyliśmy wielką galaretę, podobną do tych, które fale wyrzucają na plażę.

–Po to, by umarły – dorzucił Chien.

–Przyniesiesz mi ręcznik? – zapytała Tania. – Albo gąbkę? Potrzebuję Jej.

Poszedł do łazienki po ręcznik. Był teraz nagi – jego spojrzenie ponownie padło na miejsce, gdzie tamten chwycił go i przyciągnął z powrotem, by dłużej z nim poigrać.

Znamię krwawiło.

Wytrzeł krew. Widząc, że nadal płynie, zastanowił się, ile zostało mu jeszcze czasu.

Może kilka godzin.

Wrócił do łóżka.

–Możesz jeszcze? – zapytał.

–Pewnie. Jeśli masz siłę, to zależy od ciebie. – Utkwiła w nim nieruchome spojrzenie, prawie niewidoczna w mętnym świetle ciemnego pokoju.

–Mam – powiedział. I przycisnął ją do siebie.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-02-24

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/